

Lü De'an (1960) – wiersze

Tłumaczenie z języka chińskiego:
Joanna Krenz*

DOI: <http://dx.doi.org/10.12775/LC.2021.019>

*

Ojciec i ja (chiń. *Fuqin he wo* 父亲和我)

Ojciec i ja
idziemy ramię w ramię
deszcz na moment ustaje
zdaje się jakby od ostatniego
deszczu minęły długie lata

Idziemy w deszczu i chwilowych bezdeszczach
ramię ociera się o ramię
ale nie mamy sobie nic do powiedzenia

Dopiero co wyszliśmy z domu
więc nie ma o czym rozmawiać
to efekt długiego życia
razem

* Adiunkt na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i post-doc na Uniwersytecie w Zurychu. Jej badania koncentrują się na literaturze i jej interakcjach z innymi dyscyplinami, zwłaszcza naukami ścisłymi. Jest także aktywną tłumaczką współczesnej literatury chińskiej na język polski. .
E-mail: joanna.krenz@amu.edu.pl | ORCID: 0000-0003-4689-6677

Odgłos kropel przypomina odgłos łamanych gałązek
i kwiaty śliwy zimą
Włosy ojca całkiem pobielają
wyglądają prawie jak dusza
zawszą zjednują szacunek

To wszystko stare znajome aleje
znajomi ludzie gestem dłoni pozdrawiają z daleka
ojciec i ja z czułością nie do wypowiedzenia
spokojnie idziemy przed siebie

*

Lis w lisie (chiń. *Huli zhong de huli* 狐狸中的狐狸)

Może chciałbyś tu do mnie podejść
choć pojęcia nie masz czy jestem tu gdzie jestem
z przyzwyczajenia przygotowujesz się czyhasz
wewnętrzne kroki w tobie
posuwają się dawno wydeptaną ścieżką

I ja już przywykłem że chowam się w pobliżu
na innej ścieżce, za milczącymi kwiatami
dziś czuję wyraźnie
że nie jestem już twój, że jestem tylko
uciekającym lisem w twoim lisie

Choć moja rzeczywistość potwierdza się tylko poprzez przypuszczenia
moje oczy naprawdę zobaczyły ciebie
już po drugiej stronie drzwi
jak łatwo mi znów stać się sobą
poczuć radość wyjścia z powrotem na świat



Trzy wiersze o dachu i sadzawce (chiń. *Wuding yu chitang san zhang* 屋顶与池塘三章)

1.

Wczoraj wieczorem pisałem o sadzawce, o dawnym domu w wodzie i o tym, że pośród całej tej widzialnej oczywistości wciąż jeszcze jest wiele rzeczy wydumanych. Napisałem sadzawkę, a potem zmaciłem jej wody – napisałem, że letnią porą pewien chłopczyk bardzo chciał coś znaleźć w jej drobniotkach złocistych falach. Ale teraz na powierzchni pływa tylko jego cień. Błyszczą się jego złote oczy. Napisałem jeszcze mech, który porasta wszystko grubą warstwą i jak w tym wszystkim wspomniany chłopczyk walczył, wołając pomocy, i jak stałem ogłupiały na brzegu, jakby zaczarowany przez ten jego anielski głos – takie właśnie jest to moje pisanie, piszę, żeby zaświadczyć o tym, co widziałem, piszę w tym dziwnym stanie, w którym człowiekowi się zdaje, jakby sam tam był. Migocą gwiazdy. Tak sobie myślę, że jeśli nie mogę być jak ta sadzawka i o zmierzchu mroczniejąc objawiać tajemnicę świata, to chciałbym mieć choć echo – ten głos, który sprawia, że można być jakby jednocześnie w dwóch miejscach.

2.

Jakiś czas temu sąsiad Tang zmuszony był położyć od nowa swój kryty dachówką dach pochyły jak piramida, co wiązało się z tym, że musiał wspiąć się na samą górę, położyć się i spojrzeć we wnętrzość własnego domu, czyli, jak wszyscy wiedzieliśmy, w swoją osobistą zgrozę. Dotąd zawsze wiódł bowiem życie przeciekające deszczem. Na podłodze stała miska, w której mył się w młodości. Teraz już problem z głowy. Dekarze przygotowali mu rusztowanie, żeby mógł wejść i osobiście zajrzeć we wszystkie dziury, my zaś w tym czasie z drugiej strony strumyka jak Bóg wpatrywaliśmy się w błyszczący w oddali

maleńki daszek, i jak on kołysał i chwiał się,
jakby zaraz miał spaść – on i on
na ziemi to jakby dwóch zupełnie różnych ludzi.
Ojej, ależ się chwieje, czyżby nie wiedział,
jakie to niebezpieczne. W końcu wstał,
jakby chciał wylać na kogoś swój gniew, w sumie to
dawno już nie otwierał ust,
ale jak tylko przemówił, to powiedział za dużo.

3.

Ale ja sam też pewnego dnia, nurkując w sadzawce,
przestraszyłem się nie na żarty, to było, gdy zobaczyłem węża, dostałem
gęsiej skórki na całym ciele. Węża?
Jaki tam wąż – próbowałem
celować w niego kamieniami, ale było tak,
jakby wcale nic tam nie było, mówiłem sobie
to zwykle przywidzenie. W dzieciństwie zawsze marzyłem,
by móc być jednocześnie w dwóch różnych miejscach.
Albo żeby się dało po wodzie chodzić
suchą stopą, jak Jezus
stać na tafli jeziora i nauczać o życiu.
Ale nie mogę. I wąż też nie może. Skoro go nie ma.
Pofolgowałem więc własnej przyjemności
i rzuciłem kolejny kamień, który
choć przepadł bez śladu, przetopiony w grudkę próżni,
wprawił mnie w dobry humor na cały dzień.
Wróciłem do domu, imaginując niebezpieczeństwo.
Ty wiesz, że to wszystko prawda, że niczego nie zmyślam.

*

Schody (chiń. *Taijie* 台阶)

Zgodziłem się kiedyś zakończyć pewien etap życia,
po tym, jak wybuduję schody przed wejściem.

Przytaszczyłem kamienie i wszystko, czego używają kamieniarze,
młotek, łopatę, cement, wodę...

Dzień, dwa, spędzone na tej samej robocie,
wprowadzają w lunatyczną samotność, jakby ktoś

pędził na złamanie karku w imię czegoś, co nigdy się nie wydarzyło –
ech, a ja po prostu nie chcę zeskoczyć ze schodów.

Jednak rzecz bynajmniej nie w tym. Widziałem
u stóp góry rój pszczół pospolitych, jak wyfruwały z ula.

Ktoś uciekł. Tymczasem ja niezmiennie wznoszę
na rękach w górę kolejne kamienie.

W tym miejscu, które nikogo nie obchodzi, wiem,
że musi dojść do jakiegoś zniebazstąpienia.

I dalej schylam się z syzyfowym mozołem,
próbując kamienie przymusić do czulej wzajemności, żeby były jak miłość,

jak rolnik – aj, wykopałem już dół na trzy stopy,
wszystko po to, by zakopać w ziemi, co twarde.

A jednak rzecz bynajmniej nie w tym. Kiedy ścięgną migocą
na moich spoconych ramionach, widzę przed sobą

dryfującego lekko Boga, który przemyka w popłochu
przez chatkę mojego wygnania z wyboru.

*

Ostatni dzień października (chiń. *Shiyue zuihou de yi tian* 十月最后一天)

W dolinie rzeczki układam drwa, z taką radością,
jakbym dostał od życia jeden dzień nadwyżki –
jeszcze trochę czasu i troszki wysiłku,
a zbierze się tego okazały stosik, który ułożę przy drodze
jak mur dostojnie czekający mrozów.
Co do śniegu, wystarczy warstewka cienka jak łabędzie pióro,
żeby stworzyć krajobraz, jakiego potrzeba zimą:

z ośnieżonego stosiku wystaje kilka pni,
oznaczają one, że świat ma gdzieś swój koniec
i przywracają człowiekowi wiarę w tym pejzażu beznadziei.
Tylko że tu jest Południe, tu nie spadnie śnieg,
a to że zbieram, przebieram, to ot tak, przy okazji, po drodze,
ziemię oplata suche pnącze, a jednak nie chwytam za trzonek
siekiery, żeby je wyciąć. To są gałązki,
które same poopadały z drzew. Od dawna co poniektórzy
nawołują, żeby je porąbać. Ale jeden mówi,
drugi zapomina. Jakby to pnącze rzuciło na nich urok.
Drzewa ze wszystkich stron przysłonięte są gęstą tkaniną lody.
To każe ludziom zejść wreszcie na dno wąwozu i wynurzyć się
po drugiej stronie wody, przyświecając sobie ostrzami noży.

Jest jednak pewien góral zwany Tao Di,
żyjący przed pnączem owym przesądny lęk. Rąbał, a rąbiąc, mamrotał:
zobaczcie, w czerwcu nad dolinę nadciągną nawałnice,
pamiętajcie, że to jest najlepsza ochrona przed burzą.
Ale jeden mówi, drugi zapomina.
Co powiedziane, być może się spełni. Zapomnianym będę ja sam.
Wtedy naprawdę wyczekiwałem z niecierpliwością czerwca,
żeby wichur powstał znad wąwozu i to, co zwę domem,
połamał jak źdźbła trawy, pozwalając mi wreszcie opuścić to miejsce.
Ale minął czerwiec, potem lipiec – jeszcze szybciej,
a przed oczyma wirują nadal tylko suche pnącza,
niektóre grubości palca, jedne tańczące po ziemi,
inne zwisające jeszcze z gałęzi,
jak na korony drzew nałożone korony cierniowe.
Oby je Bóg pozdmuchiwał wszystkie jednym oddechem –
Dziś z chęcią zabrałbym się do roboty,
ale nie mogę wymazać z pamięci pleniącej się tu dawniej dzikości,
pnączy, które w każdej chwili gotowe cię spętać,
i jakby po tym czerwcu miał przyjść jeszcze jeden czerwiec,
i trzeba na każdym kroku zachowywać ostrożność właściwą ostatniej godzinie roku.

*

Zaproszenia
– dla Roberta Frosta
(chiń. *Zhongzhongyaoqing* 种种邀请)

Może pošlę kogoś by cię uprzedził
albo może napiszę list
albo zamrugam latarką
a jak nie to zostawię kapelusz

Panie Frost
to tylko chwilowe rozstanie
wrócę prędzej czy później
zachroboczą pod moim butem twoje gałęzie

*

Przymarzniete drzwi
(chiń. *Dongzhu de men* 冻住的门)

Najbardziej kłopotliwa rzecz w całym roku
to nic innego jak przymarzniete drzwi.
Nie pamiętam, ile to już razy padał śnieg
i ile życia upłynęło pomiędzy śnieżycami.

Jak zaklęty bywało, że trwałem
długie godziny w zamkniętej izbie,
wpatrując się przez oblodzoną szczelinę
w biały, swobodnie dryfujący świat.

Zamarzło na dobre, przez te drzwi
nie wejdzie ani nie wyjdzie nikt,
ale jeśli akurat wtedy wrócisz do mnie,
cała ośnieżona przeddeptując za progiem,

wówczas ja, jakbym przyjmował drugiego siebie,
rzucę się na te drzwi albo podkopię je na trzy stopy,
ach, sam już nie wiem, jak byłoby lepiej,
najlepiej, by było to tylko złudzenie.

*

Pochyły domek (chiń. *Qingxie de fangzi* 倾斜的房子)

Kiedy domek się chwieje, w ścianach pojawiają się szczeliny
szerokie, że można wsadzić palec –

tak mi się roi w pokoju.
Jakby coś się kroilo w ciemności.

To samo dzieje się z domkiem na wietrze
hušta się na prawo i lewo, zmuszając mnie do skoku z okna.

Wszyscy mówią, że to moje widzimisię, że domek się niby kołysze.
Mówią, że jestem jak sierota, co chce uciec jak najdalej stąd,

albo nagle w samym środku tłumu
przemienić się w zająca w oddali.

*

Sen o posiadaniu domu (chiń. *You fangzi de meng* 有房子的梦)

Śnieg który spadł we śnie
przykrył ziemię
przykrył ten
domek który nie ma okien

ktoś podszedł z duszą na ramieniu
ale w głosie jego brzmiała ostentacyjna pewność

przenikając przez ewidentną ciemność
ktoś uderzył w ścianę

dopiero wtedy nastąpiło wygnanie
tarzanie się po śniegu
i stanie na głowie
nad blaskiem powleczonej ziemi

a wszystko przez ten
domek
bez drzwi
bez okien

*

Niedokończona klatka (chiń. *Wei wancheng de longzi* 未完成的笼子)

Przez cały dzień majstrował
przy tej niedokończonej wiklinowej klatce –
to dziedziczne rzemiosło
misterne i zręczne

na pamięć
wyginał przeplatał
przewracał
z niedoścignioną wprawą

Z tej klatki
jakby jakiś ptaszek
wyśpiewywał raz za razem
jego odwieczną tęsknotę

I tak przewijała się
w jego przypominających taśmę
produkcyjną palcach
beztroska
i bez końca praca

*

Do matki (chiń. *Zhi muqin* 致母亲)

A jednak wróciłem, niezauważony,
przyniosłem ci twojego prawdziwego syna
i opowieści z innych stron
albo żebyśmy przeczytali książkę – „Sen czerwonego pawilonu”,
który ojciec za życia czytywał na dobranoc.
Nie rozstawał się z nim, jakby
ciągle nie dość rozumiał.

Dopiero potem się dowiedziałem, że to
jego sposób na zasypianie. Praktykował go od dawna.
Aż pewnego dnia przybiegł do domu
i coś go nagle zakłuło w sercu, położył się
na łóżku i nawet nie zdążył przewędrować wzrokiem
z sufitu
na wczoraj rozpoczętą stronę –

tak naprawdę strona nigdy nie miała znaczenia.
Każda była tak samo dobra.
Każdą dało się czytać, wersy przepływały jak strumyk i obłok.
Ale teraz zaczęły przypominać
jego życie w niedbale narzuconych ubraniach
nieodkładnie pokolorowane –

Ale Mamo, kiedy tak czytałem,
i między akapitami radziłem ci przeprowadzić się z tej sypialni
i przerobić ją na salon,
jednocześnie ze swoich dłoni
przenosząc cię w inny krajobraz,
przekonany, że to talizman, który pozwala
spojrzeć wprost na rzeczywistość, zauważyłem, że się zmniejszasz,
jak butelka wewnątrz butelki,
jednocześnie nieskończenie wielka.

To mogła być twoja dusza wewnątrz duszy ojca,
trudno jej było się tak od razu wydostać.
Dopiero kiedy po długim czasie wróciłem ponownie do domu,

zobaczyłem, jak układasz rzeczy z głębokim spokojem na twarzy,
w końcu zrozumiałem
i poczułem wdzięczność wobec codzienności,
ułożyłem wzrok obok twoich kolan,
zastanawiając się, co by tu jeszcze odsunąć.

*

Przechwycony wiersz (chiń. *Zhuanshu de shi* 转述的诗)

1.
Nowy Jork. Niedzielny poranek.
Długo spałem, więc udało mi się wyśnić parę linijek wiersza.
Wiersz migotał blaskiem. Ale nie wyglądał
jak wyjęty z szuflady rzeczywistości,
złowrogo prężył się w dłoni, bardziej przypominał
życie jak krople deszczu ociekające z dachu jurty
i skrzył się na tajemniczej wsi.
Wąski i długi, podzielony na strofy, podskakujący,
a każda pauza była maleńkim
końcem języka pod względem sensu;
Ale jaki to był język, między wierszami
lekką ręką wypisany, nie byłem w stanie rozstrzygnąć!
Czy to był wiersz – nie potrafię powiedzieć na pewno.
Przewracał się jeszcze w łóżku z boku na bok,
potrzebował więcej czasu, by dotknąć
i dotrzeć, dotrzeć – trochę jakby robił sobie dobrze,
nabożnie opuszcza oczy, a ciało
w gniewie wynurza się nad lustro wody!

2.
Mrucząc coś do siebie, ściska w dłoni
rozłożoną na stole szarobiałą pizamę.
Jej czarne oczy zdążyły się zrobić brązowe.
W popłochu szykuje się do wyjścia. Ale nie wychodzi.
To druga połowa dnia. Naga,
nagusieńka ma w sobie jakąś ewidentność,
która sprawia, że kiedy wędruje w tę i z powrotem,
cały czas pozostaje w niej pewna niezmienna postawa.
W swoim mieszkaniu o wielu pokojach

ze względu na pogodę przypomina zawilgoconą harfę
leżącą cichutko w futerale. Otwiera, mówiąc:
„W tym mieszkaniu lubię tylko ten jeden pokój,
w którym dusza się uspokaja, o ile to w ogóle
można nazwać pokojem”. Stając w drzwiach łazienki, dodaje:
„Kiedy biorę prysznic i patrzę, jak woda spływa łagodnie
po moim ciele i zalewa podłogę, rozmyślam,
jak by tu w życiu zdobyć
pióro piszące po wodzie”.

3.
Jak umyślnie spowodowane zdarzenie,
na ulicy za oknem (mającej ze dwadzieścia jardów)
nastąpiła eksplozja. Kanały, gazociągi
i wszelkie inne pod ziemią pochowane części świata
podfrunęły w powietrze. Niektórzy we śnie
powybiegali z domów,
ale miejsce zdarzenia było już szczelnie otoczone.
Na jaskrawym banerze widniała przestroga
„uwaga, niebezpieczeństwo”.
Za plecami unosiły się dwie smużki dymu o niebieskawym zapachu.
Część mieszkańców udało się ewakuować na czas, ale
część nadal nie chce opuścić domów,
siedzą w pokojach obojętni na powtarzane im w kółko „uciekajcie stąd”.
Odroczono koncerty. Słowo „tulaczka”
rozciąga się aż do nieba. Pośród ogólnego zamętu ktoś podobno widział
zagranicznego boga, jak czmychał
potajemnie przez jedną z bram miasta.
Został sznur rozpędzonych aut, na pół oszołomiony
własnym hukiem,
na pół sparaliżowany.

*

Manhattan (chiń. *Manhadun* 曼哈顿)

Jeśli między nocnym Manhattanem
a Roosevelt Island
wielki morski ptak
szybuje z wolna w dół, bezgłośnie

wstrzymując oddech; jeśli jest to
noc wietrzna i śnieżna,
i nie potrafię powiedzieć, czy może ten oszołomiony ptak
przybył tu pod wpływem nagłego impulsu

Między dwoma jaśniejącymi miastami
jest z dnia na dzień kurczące się morze
Jeśli nocą ptak
chce się po prostu trochę przyzwyczaić

by móc przetrwać w szczelinach między światłami
albo żeby w świetle i śniegu
ścigać ławice spowitych ciemnością ryb
to niech mu się powiedzie

Jeśli ze zdumieniem zobaczę że pod skrzydłami
tego ptaka kryje się puch białych piór
to odnalazłem moją samotność
pomiędzy Manhattanem a Roosevelt Island